

Anna Marchewka

Wrzos

To było przeżycie. Pamiętam czytanie esejów Jolanty Brach-Czainy na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia, na przełomie XX i XXI wieku, w głębokim brzuchu akademii jako dużą sprawę – *Szczeliny istnienia* trafiły na listę lektur mojego seminarium, dyskusja o tej książce była jak otwarcie okien w zatęchłym pokoju. Książka Brach-Czainy czytana była wówczas w duchu feministycznym, może przez kontekst, bo pojawiło się wznowienie w pomarańczowej okładce z wydawnictwa eFKa (w tej samej serii ukazały się *Damy, rycerze i feministki* Sławomiry Walczewskiej, *Kopciuszek, Frankenstein i inne* Kazimierzy Szczuki oraz *Ciało w ciało z matką* Luce Irigaray), nie tylko oszalała, ale i budziła, dawała szansę na poszukiwanie duchowości w innym niż chrześcijański porządku. Żadnych uników, żadnych podchodów, za to propozycja radykalnej przemiany sposobu myślenia i wartościowania nie na zasadzie prostego odwrócenia (bo cóż by to niby była za zmiana), ale dekonstrukcji i budowania w innym porządku, w innej tradycji. „Zacznijmy od sprawy prezentacji” – pisała Brach-Czaina w przedmowie do *Błon istnienia* z 2003 roku. Ta niewielka, błękitno-biała książeczka szła w świat opromieniona sławą *Szczelin istnienia*, wspierana wzmożonym zainteresowaniem krytyką feministyczną karmionym pragnieniem poszukiwania mistrzyń, przewodniczek, głodem poznania/odtworzenia niepatriarchalnej tradycji.

Strażnicy tradycji przekonują, by nie opuszczać pustego koryta, które przez wieki podobno dobrze służyło ludziom, a w nas narasta obawa, że tracimy siły, błędząc na pustkowiu. Coraz częściej podejrzewamy, że strumień płynie gdzie indziej i tam trzeba się dostać. Pytamy więc, jakie są rozsądne granice poszanowania tradycji? Czy opierać się na wierze ojców, czy na myśli córek?

– pisała Brach-Czaina w otwierającym zbiór *Pejzażu z długą tradycją*, nie zostawiając wątpliwości co do swoich zamiarów. Pytanie „kim jestem?” niesie poważne konsekwencje, obejmuje wszystkie plany, nie tylko ten prywatny, wymaga również zakwestionowania podstaw wspólnoty, ale nie w imię rozkosznej demolki, tylko rozsądku. Wydawała się ta książka jeszcze bardziej radykalna od dekadę starszych *Szczelin istnienia*, widać w nich wyraźnie, jak bardzo są wymagające wobec czytających, jaką pracę trzeba wykonać w trakcie lektury, a co może jeszcze ważniejsze: po niej. Wtedy, na początku XXI wieku, wciąż jeszcze świat „córek” wiązany był raczej tylko z emocjami, raczej z nieracjonalnością. Brach-Czaina dokonała znaczącej podmiany: te „młodsze”, a przez to przedstawiane jako słabsze, a nawet bez znaczenia czy zwyczajnie wtórne wobec „ojców” podmiotki stoją w *Błonach umysłu* po stronie tak cenionego w męskocentrycznym świecie rozumu, po stronie intelektu, po stronie „myśli”, wytrącając w ten sposób argument o nieracjonalności z rąk przeciwników ruchów emancypacyjnych. Rewizyjny charakter *Błon umysłu* zdumiewa swoim rozmachem i dzisiaj: uświęcona (czyli nietykalna, niekwestionowalna) tradycja okazuje się oparta na wierze, z którą – jak to z wiarą – nie da się dyskutować: albo się wierzy, albo nie. Wiara (nie rozum, nie wypracowana konstrukcja intelektualna) ojców przeciwstawiona została myśli córek, a te wybrzmiewają z mocą, której już nie da się zignorować. Córki mówią: „sprawdzam” i odkrywają, że tylko niezgoda jest dorzeczna, że tylko nieposłuszeństwo wobec obowiązujących zasad – czy raczej: dogmatów – wchodzi w grę. Co istotne, nie ma w tym eseju mowy o nienawiści czy braku miłości, nie tak autorka motywuje projektowane działania. Motywacja podbita pytaniami o przyszłość (ale i terażniejszość) związana jest z troską o dobrostan społeczności, a może nawet z powinnością, wyższą racją wymagającą poświęceń w emocjonalnych rejonach. Powinność przyświeca córkom, które widzą jaśniej, których odwaga może zatrzęcać postronnych obserwatorów (oraz ojców), bo widzą jasno pustkę rytuału, widzą jałową ziemię. Widzą i wiedzą, że poszukiwać trzeba w innych rejonach, konieczna jest przemiana perspektywy, zwrot poznawczy, którego początkiem jest odbudowa linii matczynej. Ale jak podkreśla Brach-Czaina, ta odwaga nie przychodzi łatwo i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie wystarczająco radykalna: „nie wiem, czy kiedy-

kolwiek zdobędziemy się na to, by powiedzieć, że to, co jest martwe, jest martwe. Ani czy będziemy rozumnie towarzyszyć zmianom, jakie w nas zachodzą? Czy w ogóle nadążymy z rozpoznaniem samych siebie? I czy zechcemy towarzyszyć światu, który nie ustaje”. Domaga się zatem nie tyle ogłoszenia zmiany i podtrzymywania nowego porządku, ile gotowości do ciągłych przeobrażeń. Rozumne towarzyszenie zmianom, jakie w nas zachodzą, wymaga głębokiej przytomności, gotowości do nieustawiania w pracy poznawczej (i samopoznawczej), mimo zmęczenia negocjowania znaczeń, nie tylko sprawdzania w ciągłym ruchu, co się dzieje u innych, ale również w sobie samej. Ta pochłaniająca robota nie mieści się, nie ma szans zmieścić się w ramach społecznych, bo przedkładamy spokój ustaleń nad trzeźwość, powinność poddawania się przemianie. Nadal cenimy stałe, choć wyczerpane zasoby, zatrute, ale znajome źródła nad te dopiero co odkrywane, znajdujące się „gdzie indziej”. Odkrywanie wyzwalającej mocy katastrof jeszcze przed nami. Potrafimy z uporem godnym lepszej sprawy trzymać się nadziei, że jeszcze coś będzie z tego, co martwe, uschłe, próżne. Brach-Czaina nazywa tę czepliwość brakiem odwagi: nowe wymaga wiele, przede wszystkim ruszenia z miejsca i przełamania złudnego poczucia bezpieczeństwa: cóż z tego, że szkodliwe, ale znane. W duchu choćby Virginii Woolf podpowiada, że w mroku nieznanego może równie dobrze kryć się nowa, korzystna, sprzyjająca możliwość. Córki poruszają głową, by z czasem wyruszyć z miejsca, wyobrażając sobie możliwości, relacje, zadania, wyzwalając się z okowów przyzwyczajień.

Brach-Czaina nie rzuca słów na wiatr, praktykuje to, do czego namawia:

Jak przedstawiać się mają kobiety, skoro pozbawione są własnych nazwisk. Te należą do mężczyzn. Kobiety mają tylko imiona. Używając męskich nazwisk, wskazują na cudze rodowody, a nie własne. Życie kobiet jest jednostkowe. Cywilizacja odcięła je od tradycji. Kobiety nie mają przeszłości, ich historia, w oczach społeczeństwa sprowadza się do jednego życia. A nawet mniej, bo i ono pocięte jest na odcinki stemplowane różnymi nazwiskami mężczyzn. Niektóre kobiety, starając się utrzymać ciągłość prezentacji przynajmniej w ramach własnego życia, zachowują panieńskie nazwiska lub dodają je do nazwisk mężczyzn. Ale przecież nazwisk panieńskich nie. Są to raczej kawalerskie nazwiska ojców. [...] Mogę zatem postąpić tak, jak zwykli to robić filozofowie – ponad ustawionymi wokół barierami – określić swoją tożsamość w relacji ze światem, od którego właśnie otrzymuję wzmocnienie i o który się poszerzam, przez ten czas, kiedy jestem. My się przenikamy, rozdzielamy, łączymy. Jesteśmy procesem: ja i świat. Mogę też postąpić w sposób

w zwykłych warunkach niemożliwy i przynajmniej wówczas, gdy piszę, porzucić męskie nazwiska, odwołać się do moich matek i skoro nasze są tylko imiona, podpisać się imionami: Jolanta, córka Ireny, wnuczka Bronisławy, prawnuczka Ludwiki

– pisała we wstępie do *Blon umyslu*. Tekst ten na lata przyćmił pozostałe ze zbioru, tamten pomysł tak efektowy i odważny wzbudził zainteresowanie herstorią, czego efekty (szczęśliwie) odczuwamy do dzisiaj. Lata pracy w przestrzeni literatury, socjologii, antropologii kultury przyniosły odkrycia, czy może raczej: odsłonięcia odsuwanych w cień, na margines działaczek, pisarek, aktywistek, naukowczyń (wzorcową była działalność Ewy Furgał i Natalii Saraty z krakowskiej Fundacji Przestrzeń Kobiet). Ostatnio – szczęśliwie – uczyliśmy się czytać przeszłość i już terażniejszość już nie w trybie gwiazdorskim, herstoryczne przewartościowanie doprowadziło nas do miejsca, z którego świetnie widać te postacie nie-gwiazdorskie; widać to choćby w pracach Urszuli Glensk, Marty Madejskiej czy Alicji Urbanik-Kopeć. Tyle ich już jest! A ilu jeszcze nie widzimy – nie dlatego, że są niewidoczne, lecz z powodu ograniczeń percepcji i możliwości poznawczych. Praca przesunięć, przemiany perspektywy jest w procesie. Jak pracować nad tą przemianą pokazała właśnie Brach-Czaina.

Często zachęceni jesteśmy, by robić to, co inni, i w tym samym czasie. Czytać książki, które inni czytają, myśleć o tym, o czym inni myślą – pod groźbą wykluczenia. [...] Gdyby miała wskazać indywidualistę, nie byłby nim człowiek pośród innych ludzi, tylko pośród roślin – wrzos, który rozkwita jesienią, gdy wszystko, co hurmem kwitło latem, zwija się, kurczy, usypia, opada i gnije

– pisała we *Wrzosie*. Czytany współcześnie – po wysnuciu teorii i wprowadzeniu do głównego nurtu praktyki ekokrytycznej i ekopoetycznej – wzywa do dyskusji w duchu „po człowieku”. Gdy Urszula Zajączkowska pisze o roślinach – które przecież bada – wprowadza już inną perspektywę. Chodzi przecież nie tylko o to, że (i ile) Zajączkowska wie: profesorka od roślin rozumie (z zastrzeżeniami, bo nie można wprowadzać tutaj kategorii „rozumienia” bezrefleksyjnie) czy stara się rozumieć ich język. Analizuje ich ruchy, działania, podejmując wciąż próby wyzwolenia się spod władzy ludzkiej perspektywy. Nie jest w tych działaniach osamotniona: nauki przyrodnicze spotykają się z naukami humanistycznymi, Zajączkowska wskazuje na swoich poprzedników (takich jak Goethe). Trzeba tutaj także wskazać na Julię Fiedorczyk, której zawdzięczamy wprowadzenie do polskiego obiegu ekokrytyki i która od lat pracuje nad zmianą perspektywy

również w poezji i prozie – jak w wybitnych *Psalmach* czy w powieściach takich jak *Pod słońcem*. W swojej twórczości Fiedorczyk nie pozostaje na poziomie postulatów – wprowadzane w życie, przynoszą one zmianę świadomości. Lepiej widać teraz istoty, świat nie kończy się na człowieku. Rośliny mają swoje życie, już niekoniecznie sekretne: użycie tego słowa zakładałoby, że rośliny chcą coś ukryć przed ludźmi – tymi pyszałkami domagającymi się przywilejów – a swoje ograniczenia traktują jak narzędzie segregacji czy podporządkowania. Jeśli czegoś nie rozumieją, to znaczy, że nie jest wystarczająco dobre. Jeśli coś wymyka się przyjmowanym przez nich normom, to znaczy, że nie zasługuje na uwagę. Zajączkowska spotyka się z Brach-Czainą, gdy tak rozpoczyna *Mokre dywany*:

granice wymiarów zarówno naszego ciała, jak i czasu, w jakim musimy zmieścić się ze swoim życiem, utrudniają szansę poznania rozmaitych innych składowych istnienia, które przez cały nasz byt są niemożliwie blisko nas. Bo nasze wymiary, także nasz byt są niemożliwie blisko nas.

Żeby dostrzec i docenić „męczliwą tkankę codzienności”, trzeba się naprawdę postarać, podkreślała w latach 90. Brach-Czaina. Jej słynne *Krząctwo* zaczyna się przecież tak:

Podstawę naszego istnienia stanowi codzienność. A że fakt istnienia przeżywamy jako niezwykle ważny, więc ogarnia nas zdumienie, ilekroć uświadamiamy sobie, że upływa ono na drobiazgach. Codzienność stanowiąca tło egzystencjalne zdarzeń niezwykłych, których oczekujemy – często nadaremnie – może więc decydować o wszystkim. Ma wymiar drobny. Częstotliwość dużą. Jest niezauważalna.

Opowieść Zajączkowskiej o spotkaniach z mszakami oraz o pracy z nimi – pracy badawczej, która często wiąże się z zabijaniem. Poznać przekrój rośliny oznacza konieczność rozcięcia jej, pocięcia. Jaka jest cena nauki? I kto tę cenę płaci? Poznać zbyt często znaczy zabić. Jak wtedy, gdy wyrывa się z kępy pojedynczy gametofit mchu, a ten ginie. Ale zdarza się cud: na kilka sekund zmartwychwstaje, gdy ma dostęp do wody. Cóż z tego, że ginie, skoro na kilka chwil cofa się do świata żywych. Zajączkowska pisze o wspólnocie: mchy żyją razem, podają sobie wodę, ich życie jest życiem wspólnoty, uzależnionym od wody – a jak jest z wrzosami? Brach-Czaina, która odkrywała przed nami łączliwość elementów składających się na świat, dzisiaj powiedzielibyśmy: ludzki i nieludzki (jej eseje poświęcone oddychaniu w pandemii wydawały się – nadal takie mogą być, przecież pandemia trwa – prorocze), na rośliny

patrzyła nadal przez człowieka; używała roślin, by o ludziach opowiadać. Nie było to chyba jednak celowe działanie – takie jak u Han Kang – ale konsekwencja braku świadomości. Celowe użycie antropocentrycznej kliszy może i współcześnie przynosić dobre efekty. Han Kang w *Wegetariance* pisała o przemianie kobiety w drzewo: Yông-hye z dnia na dzień odmawia jedzenia mięsa i wszystkich produktów pochodzenia zwierzęcego, co wstrząsa jej rodziną (mężem, rodzicom, siostrą, szwagrem), a nawet znajomymi (choć trudno o tej postaci mówić jak o osobie towarzyskiej). Wypowiada posłuszeństwo obowiązującym zasadom: nie chce przykładać ręki do przemocy, we snach widzi straszne sceny rzezi, nie chce brać w nich udziału, podtrzymując tradycję, rozumie, że musi się uratować. Jeśli być człowiekiem oznacza zadać ból, zadawać przemoc, to ona odmawia i na tej odmowie rodzi się marzenie o przemianie w drzewo. Autorka powieści zdaje sobie sprawę (mówiła o tym podczas ubiegłorocznego wydania Festiwalu Conrada), że życie roślin dalekie jest od nieprzemocowych wzorców, tak bliskich tytułowej bohaterce. Drzewa rywalizują o światło, zagłuszają rywali w wyścigu o przeżycie, nie mają sentymentów. Mimo tej wiedzy, mimo tej świadomości Han Kang postawiła na drzewo wyobrażone. Trudno jednak pomyśleć o tej powieści jak o tekście konwencjonalnym, powielającym stereotypy czy niezdolnym do przelamania prymatu ludzkiej perspektywy. Jak pisała Brach-Czaina w *Wiśni i rozumieniu*:

jeśli jesteśmy głusi na ten rodzaj mowy, która brzmi wewnątrz bytu, najbardziej krzyczące, drastyczne zdarzenia możemy minąć obojętnie nie dowiedziawszy się niczego i nie otrzymując żadnej wskazówki. Drugim bowiem, niezbędnym warunkiem rozumienia komunikatu bytu jest nasza gotowość do wysłuchania ich. Skupienie. Napięta uwaga. To jednak my czytamy, choć tylko to, co jest nam dane do odczytania.

Zwracała też uwagę na powszechnie występujące zagrożenie:

łatwo bowiem może się zdarzyć, że pośród niewyraźnej mowy bytu usłyszymy jedynie własny głos. Chodzi o to, by powściągnąć siebie. Jeśli chcemy dowiedzieć się czegoś, nie możemy nic wmawiać.

Nie rzutować siebie w obiekt egzystencjalny – łatwo powiedzieć, trudniej jednak dokonać. Koncepcja „osoby otwartej i całkowicie przenikalnej”, którą prezentowała w *Dotknięciu świata*, zapowiada kres świata tylko ludzkiego, zapowiada jego koniec. Świat już nie będzie tylko tłem dla rozmyślań o kondycji ludzkiej, człowiek zdolny będzie do tego, by dostrzec siebie jako część

świata. Część groźną, ale z perspektywy istnienia pewnych gatunków roślin, mniejszą, niecentralną. Jak zauważa Zajązkowska w *Patykach, badylach*:

jeśli człowiek potrafi wykończyć ekosystem leśny w rok, będzie to stanowiło 0,000000002 procent długości życia mszaków na Ziemi. Bardzo krótko, niezwykle intensywnie, jak uderzenie pioruna. A przecież rośliny, jeśli już odchodzą z Ziemi, robią to przez setki, tysiące lat, są raczej odsuwane przez inne, przez klimat, zwierzęta, powoli, łagodnym ruchem przeznaczenia. Nie widać zatem specjalnie różnicy w tych mikroskopowych ułamkach katastrof, jakie się w życiu mszaków wydarzają: meteoryt czy człowiek. Moc ta sama. Czas ten sam.

W tekstach Brach-Czainy na takie rewolucyjne zmiany było jeszcze za wcześnie. Może nawet nie jest to najlepsze słowo, może nie rewolucje tutaj są najważniejsze, lecz żmudne, powolne, nawet irytująco powolne wypracowywanie sposobów na wypowiedź odpowiadającą na wyzwanie i wyzwanie niej-ja. U Brach-Czainy kwiat wrzosu nadal jest tylko emblematem, symbolem, za pomocą którego filozofka chce lepiej opisać kondycję ludzką. Nie jest w tym użyciu pierwsza: symbolika kwiatów, mowa kwiatów do dziś obją się po marginesach humanistyki, rządzi w przestrzeni publicznej. Pisała bowiem:

jeśli świat ma stronę subtelną, to po tej stronie kwitną wrzosy. My też częściowo tam należymy. Istniejemy przecież jednocześnie w dwu różnych rzeczywistościach i nie przeszkadza nam, że one się nie spotykają. Jedna wyrazista, krzykliwa, tak gwałtownie domaga się uwagi, jakby jej byt od tego zależał. [...] A obok, równolegle, jednocześnie dzieją się zdarzenia niepozorne, ledwie zaznaczające swoją obecność. Sfera subtelna. Obejmuje zjawiska niepotrzebujące niczyjej uwagi, by istnieć. W pełni należą do niej niepozorni ludzie, szare gąsienice i drobne kwiaty o słabych barwach: istnienia pół-przezroczyste, których się nie zauważa.

Od razu chce się zadać kilka pytań do tego fragmentu: gdzie owo „się” sytuuje? Dawno powstała ta książka, istniało przeczcucie wspólnoty ludzkiej i nieludzkiej, ale jeszcze wyraźnie podtrzymywane były hierarchie, nadal u Brach-Czainy patrzy się (czyli: człowiek) raczej z góry na całą resztę („nie-ludzką”). „Się nie zauważa” – kto patrzy, kto ma władzę? Przywołane w *Błonach umysłu* wrzosowiska i wrzos sprawiają, że nie da się nie wrócić do klasyki literatury światowej: do *Wichrowych wzgórz* Emily Brönte, gdzie wrzosowiska są zbiorową, trudną do ujęcia w ramy postacią. Dziś czarowni-

com z wrzosowisk i czarownicom w ogóle zwraca się honor, wychodzą poza granice śmiesznego straszego stereotypu dzięki wysiłkowi badawczemu autorek takich jak Mona Chollet. Tutaj jednak wrzosowiska działają jeszcze „tylko” jako scenografia, na tle której rozgrywać mają się wyłącznie ludzkie sprawy. Na przepisanie tej historii dopiero przyjdzie czas.

W ostatnich latach często wracałam do *Wrzосу* Jolanty Brach-Czajny. Pamiętałam go jako pochwałę nieoczywistych bohaterów tego świata, tworzących wielką, prześlępianą zbyt często wspólnotę.

Utożsamienie niepozorności z tym, co nieciekawe, jest poważnym błędem. [...] tymczasem niepozorni ludzie, których nikt nie dostrzega, kwitną podobnie jak wrzosy. Jeśli miałabym wskazać obszar gwarantowanej nudy szukałabym go po stronie natarczywej widoczności

– czytany dzisiaj fragment wydaje się jeszcze nabierać aktualności. Wygasłe pragnienie poszukiwania mistrzyń przerodziło się w potrzebę dyskusji – nie musi nieść zagrożenia, może nawet służyć jako rodzaj wsparcia i zachętę, by podejmować zawieszoną pracę i prowadzić ją dalej.